

„LOCUS SOLUS” W VOLKSBÜHNE

GARBACZEWSKI POTKNAŁ SIĘ W BERLINIE



WITOLD
MROZEK

GAZETA
WYBORCZA

• Nasi w Volksbühne! Ucieszyłem się, gdy usłyszałem, że w kultowym berlińskim teatrze pracować będzie Krzysztof Garbaczewski, jeden z najistotniejszych twórców pokolenia trzydziestolatków.

Scena przy placu Róży Luksemburg to dla tej - również mojej - generacji symbol. Lewica fascynowała się Volksbühne prowadzoną przez Franka Castorfa, ikonę teatru politycznego. Dla konserwatystów była ona źródłem wszelkiego zła, publicystyki na scenie, antyestetycznej i bezczelnej. Co drugiego istotnego reżysera okrzykiwano „polskim Castorfem”. Nieraz był to komplement, często - zarzut ściągania z Niemca.

Castorf odchodzi w przyszłym roku po ćwierćwieczu dyrekcji. W ostatnim jego sezonie wśród twórców teatru i tańca - Garbaczewski. Opromieniony sukcesami inscenizacji Szekspira: olśniewającej wrocławskiej „Burzy”; szalonego i rozbuchanego „Hamleta” z krakowskiego Starego; groteskowego i odważnego „Makbeta” w Petersburgu. Szkoda, że reżyser musiał się potknąć akurat w Berlinie. Kwietniowa premiera była chyba najgorsza w jego karierze.

Powieść „Locus Solus” napisał w 1914 r. kojarzony z surrealistami Raymond Roussel. Tytułowe miejsce to laboratorium mędrca Marcjała Cantarela. Zgromadzone przezeń artefakty odsyłają do kronik i legend. Tworzą kolejne kombinacje, szkatułkowe kompozycje. Świat zamknięty w języku.

Tę zawikłaną strukturę dramaturg Marcin Cecko wikła jeszcze bardziej, zmieniając w labirynt bez wyjścia i ładu, przeplatany nachalnymi refrenami. O ile rzeczywistość Roussela była jednak w istocie stworzona według precyzyjnych reguł, o tyle adaptacja Garbaczewskiego i Cecki się rozłazi.

Dawne sztuczki tandemu nie działają. Gdy np. we wrocławskim „Kronosie” publiczność witała żelazna kurtyna z napisem „Spektakl odwołany”, to żart poprzedzał wysublimowaną grę z widzem i przedstawiał akcję na innetory. Kiedy w „Locus Solus” Paweł Smała smętnie przesuwając w kółko tablicę z napisem „Przerwa”, nie kryje się za tym nic.

Nie udaje się też typowa dla Garbaczewskiego gra ze spojrzeniem, z kamerą, nieraz więcej zakrywającą niż pokazującą. Np. w opolskiej „Iwone, księżniczce Burgunda”, w której akcja toczyła się za zasłoną, w serii precyzyjnie skadrowanych obrazów na ekranie widz śledził całe łańcuchy odbić i powidoków. W „Locus Solus” kamera bywa wytrychem. Np. gdy jest narzędziem do wywiadu z Canterelem mającym pomóc wprowadzić widzów w jego świat.

Garbaczewski w swoich udanych przedstawieniach zawsze zaprasza do jakiegoś gęstego świata. Jego intelektualne podstawy mogą być bałamutne, może być to tylko ekscytujący flirt, a nie poważna fascynacja. Ale zawsze dotąd była w tym gra z wyobraźnią, świetne aktorstwo czy perfekcja obrazu. Do tej pory w światy Garbaczewskiego wchodziłem ochoczo.

Tymczasem po rozpaczliwie nudnym berlińskim przedstawieniu trudno zrozumieć, co przyciąga podróżnych do siedziby Cantarela. Z typowej dla aktorów Garbaczewskiego punkowej nonszalanckości została bezradność. Ściągnięta z TR Warszawa Justyna Wasilewska walczy, jak może, w zasadzie tylko w jej wykonaniu coś się tu wydarza. Tancerz Tomasz Bazan pogrążony jest w doklejonych do spektaklu choreograficznych sekwencjach i chyba sam sobie wystarcza. Niemieccy aktorzy-gospodarze zachowują taktowną neutralność.

Udana pozostała jedynie przestrzeń Aleksandry Wasilkowskiej. Widownia zasiada pod białą kopułą na obrotowej scenie podzielonej ścianą na pół - po średnicy okręgu. Mamy więc dwie równoległe akcje, które chwilami się zazębiają - odgłosami zza pleców, obrazem z kamery. Scena obraca się nieustannie. I po każdym obrocie spod kopuły wymykają się przemęczeni widzowie. ●